

Monologi o dialogu

Paweł Grad

Ratzinger wyszeptał do mnie po trzech kwadransach kolejnych diatryb Karla Rahnera, które przyprowiły tego ostatniego o chrypę (...): „Kolejny monolog o dialogu!”.

L. Bouyer, *Mémoires*

Zwolennicy idei dialogu charakteryzują się zaskakującą cechą: dyskusja z nimi często okazuje się niemożliwa. Cecha ta czyni ich przywiązanie do dialogu, otwartości i debaty czymś tragicznym – w praktyce nie mogą przecież zrealizować tego, czego najbardziej pragną. Paradoks jest jednak pozorny. Okazuje się bowiem, że to właśnie silne pragnienie dialogu jest przyczyną klęski niemal każdej dyskusji; to rola, jaką zwolennicy dialogu przypisują otwartości, jest tak wielka, że uniemożliwia niemal każdą konstruktywną rozmowę.

Otóż otwartość jest według zwolenników idei dialogu nie tylko narzędziem do osiągnięcia porozumienia i rozpoznania prawdy, ale przede wszystkim wartością samą w sobie. Dialog jest bowiem nie metodą rozmowy, ale postawą etyczną. W ogóle w światopoglądzie zwolenników dialogu każda, albo niemal każda, istotna kwestia ma wymiar głównie etyczny: stanowisko w kwestiach politycznych, gospodarczych, religijnych, a nawet językowych jest przede wszystkim wyrazem postawy moralnej (czy też *ethosu*, jak powiadał tak poważany przez zwolenników dialogu ksiądz Tischner). Przez zabranie głosu we wszystkich tych sprawach ludzie odsłaniają swoją prawdziwą naturę, tzn. to, czy zaliczają się do jednostek „przyzwoitych”, „porządných”, „miłosiernych” i „otwartych”, czy też „podłych”, „podejrzanych”, „osądających” i „zamkniętych”. Gdy więc ktoś zabiera głos we wspomnianych

wyżej kwestiach, liczy się przede wszystkim to, czy opowie się po właściwej stronie sporu etycznego. Co więcej, z tego, jaki jest człowiek, wynikać będzie to, co ma do powiedzenia. Tylko bowiem człowiek przyzwoity jest w stanie zająć przyzwoite stanowisko w jakiejś sprawie. Jeśli zaś nie, szkoda nawet z nim dyskutować.

Dlatego zwolennicy dialogu w gruncie rzeczy nie wierzą w moc argumentu; może dlatego też często sami są tak słabymi dyskutantami (o ile mierzyć wartość dyskutanta merytoryczną siłą jego argumentów). Skoro bowiem wymiar etyczny jest najważniejszy, to dyskusja ma tylko o tyle sens, o ile pozwala propagować postawę przyzwoitą, dialogiczną i otwartą. Skoro każdy spór wynika z kwestii etycznych (a nie merytorycznych) i do nich zmierzają, to nie ma ostatecznego merytorycznego kryterium dyskusji, a jedynie etyczne. Postawę „przyzwoitą” należy manifestować, należy ją propagować, można za nią lobbować, ale nie można – bo się nie da – o niej dyskutować. Racje na rzecz danego poglądu zawsze są tylko pochodną pewnej postawy moralnej. Dlatego „dyskusje” publiczne w wykonaniu miłośników dialogu często nie mają w ogóle charakteru merytorycznego, a jedynie rytualny – tzn. służą utrwalaniu pewnych nawyków myślowych i manifestacji słusznych wartości.

Postawa dialogiczna w takim – bądźmy szczerzy: najczęstszym – wykonaniu jest więc ostatecznie głęboko antyintelektualna. Zwolennicy dialogu są tak bardzo przekonani o fundamentalności podziałów etycznych i niemożliwości wpłynięcia na nie za pomocą racjonalnego argumentu, że nawet nie próbują wchodzić się w rzeczywistą dyskusję. Co więcej, takie próby ze strony swoich rozmówców muszą w związku z tym wydawać się im niezrozumiałe, dlatego uciekają się do racjonalizacji tych zachowań w kluczu etycznym (inny bowiem jest niedostępny) i metod uniemożliwiania dyskusji.

Oto najbardziej typowe z nich. Po pierwsze, typowym zabiegiem jest blokowanie użycia normalnych narzędzi dyskusji (podawania racji, stosowania zasady wyłączonego środka, precyzowania pojęć, wyciągania konsekwencji) przez sugestię, że ich użycie doprowadzi do wniosków sprzecznych z założeniem etycznym uważanym za oczywiste i ostateczne. Świetnym przykładem są niedawne dyskusje na temat szczegółów ustawy antyaborcyjnej, kiedy to osoby

skądinąd zgadzające się *co do zasady* z koniecznością ochrony życia poczętego odmawiały wyciągnięcia z tego konsekwencji, przeciwstawiając tymże konsekwencjom „cierpienie matek”. A jak wiadomo, ochrona przed cierpieniem powinna być oczywista dla każdego przyzwoitego człowieka.

Inną charakterystyczną reakcją jest uznawanie każdego – również merytorycznego – zarzutu za zarzut *ad personam*. Jeśli więc zwolennikowi dialogu wskaże się niepożądane praktyczne skutki jego *twierdzeń*, on sam natychmiast uznaje, że przypisuje mu się również *intencje* osiągnięcia tych złych skutków, a więc ostatecznie złą wolę jemu samemu. To również daje mu prawo do zawieszenia rozmowy, ponieważ trudno dyskutować z kimś, kto atakuje nas osobiście. Widać tutaj jak na dłoni, do czego prowadzi traktowanie każdego problemu jako problemu etycznego – każda krytyka jest w efekcie krytyką etyczną i celuje w kondycję moralną danej osoby. Łatwo zauważyć, że zwolennicy dialogu projektują tutaj na swojego adwersarza swój własny sposób myślenia.

Jeśli miłośnik dialogu ma cierpliwość na dalszą dyskusję z atakującym go faryzeuszem, może sięgnąć po kolejne narzędzie unieszkodliwiania dyskutanta: emocjonalny lub moralny szantaż. Skoro przeciwnik dialogu przypuszcza atak na wartości podstawowe – bo przecież po co innego zabiera się głos, niż żeby dać wyraz swojemu stosunkowi do tych wartości? – to należy uświadomić mu, przeciwko czemu tak naprawdę się zwraca. Może gdy dowie się, że występuje przeciwko otwartości, miłosierdziu, solidarności... (katalog cnót przyzwoitego człowieka można by rozwijać), to się opamięta. Jeśli występujesz przeciwko ludziom dialogu, jesteś przeciwko dialogowi – wniosek ten jest oczywisty. Gdy sobie to uświadomisz, musisz zamilknąć. Kto bowiem chciałby być niemiłosierny?

Jeśli jednak szantaż się nie powiedzie, można zakończyć rozmowę, uroczystie stwierdzając, że z rozmówcą nie da się prowadzić dialogu. Tutaj pozostaje jeszcze jedna rzecz do wykonania – trudno powiedzieć, czy bardziej ze względu na rozmówcę, czy ewentualne osoby przysłuchujące się dyskusji. Otóż należy dokonać manifestacji; należy głośno – tak żeby każdy usłyszał – zadeklarować swoje przywiązania do wartości ludzi przyzwoitych, dać wyraz swojej świętobliwości i miłości do wartości, takich jak miło-

sierdziej, dialog, otwartość, wyrozumiałość, szacunek dla skomplikowanej natury rzeczywistości. Z tego zaszczytnego miejsca można jeszcze ostatni raz udzielić moralizatorskiej rady swojemu rozmówcy, aby zastanowił się nad swoim postępowaniem.

Skoro już znamy cechy umysłowości zwolennika dialogu, która czyni go tak słabym i niemerytorycznym dyskutantem, warto zastanowić się, jak doszło do powstania tak kuriozalnej formacji umysłowej. Spośród wielu czynników szczególnie istotny wydaje się historyczny związek ideologii dialogu z antytotalitarną, dysydencką myślą liberalną drugiej połowy XX wieku. To właśnie z tej tradycji myślenia o debacie publicznej wywodzi się większość zwolenników dialogu oraz sama jego idea. Przynajmniej w wypadku Polski – bo od początku tego tekstu myślę przede wszystkim o naszym polskim kształcie dialogu – a więc przynajmniej w wypadku Polski, w późnej fazie dysydenckiego oporu antykomunistycznego, powiedzmy gdzieś od czasów Solidarności, etyczny wymiar sporów publicznych był w nich najważniejszy. Nie tylko kwestie światopoglądowe, ale również te, które wymagają stosunkowo wysokich kompetencji merytorycznych, jak gospodarcze czy polityczne – artykułowane były w języku etycznym. Język etyczny stanowił *lingua franca* debaty publicznej.

Można domyślać się przyczyn tego stanu rzeczy. Dyskurs etyczny pozwalał na odwołanie się do odpowiednio potężnych symboli, koniecznych do przeciwstawienia się rzeczywistości – również w sensie fizycznym – sile reżimu. Ponadto świetnie działał jako dyskurs zastępczy: jeśli nie dało się prowadzić dyskusji merytorycznej – albo dlatego, że była zakazana, albo dlatego, że nikt nie był do niej przygotowany – można było zawsze wszcząć spór polityczny ludzi honoru z ludźmi sowieckimi. Nie bez znaczenia były wreszcie głębokie korzenie dysydenckiej elity sięgające środowisk młodych, silnie zideologizowanych młodzieżówek marksistowskich czasów odwilży – radykalne, w gruncie rzeczy etyczne opozycje między „systemem” a „człowiekiem” czy „rewolucją” a „wstecznictwem” były naturalnym językiem środowisk młodego Adama Michnika czy Jacka Kuronia.

Okazuje się więc, że postawa dialogiczna w opisanym tutaj wariantcie jest nie tylko antyintelektualna i przeciwna rzeczywistości dyskusji, ale również w pewnym sensie anachroniczna. Uczynienie

z debaty publicznej pola sporu etycznego być może było skutecznym narzędziem walki z opresyjnym systemem politycznym (choć pewnie już wtedy było ono niemerytoryczne), ale absolutnie nie ma sensu w warunkach, w których jedyną siłą, jaką może dysponować rozmówca, to siła argumentu. Traktowanie każdego polemisty jako przeciwnika moralnego nie jest dobrą odpowiedzią na jego domniemane „złe” intencje czy wrogość, ponieważ często po prostu nie ma on „złych” intencji ani nie jest nastawiony „wrogo”. Postawa „dialogu” co najwyżej wzmacnia wrogość lub wręcz ją powoduje – trudno bowiem zachować miłosierdzie wobec kogoś, kto każdy sprzeciw uważa za moralny wyrzut. Z kimś takim nie da się dyskutować. Tym razem naprawdę. ■